

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne. (red.)

\*

### W. S. Flisiński – *Katastrofa*

Pamiętnik ten został przekazany do ówczesnego Archiwum Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie w grudniu 1954 roku. Autor opatrzył go tytułem: „O wypadku kolejowym, jaki miał miejsce w czasie pracy przymusowej w obozie jeńców wojennych na linii kolejowej Kotłas – Workuta (Komi ASSR) w dniu 26 października 1940”. I dodatkowo uściślił: miejsce, sytuację, okoliczności. Ten fragment z pamiętnika osobistego nadesłał na ręce mgr R. Oppmanowej W. S. Flisiński z Nowego Jorku (225, Lynch Street, Broklyn 6).

(Przekazał do druku Adam Dobroński)

\*

1. Miejsce: Łagiernyj Punkt No 55, V Oddzielenie NKWD. Obóz Nianda, ustwymski rejon, Komi ASSR.<sup>1</sup>

2. Sytuacja: Stacja kolejowa Urdoma. Tor kolejowy za mostem na rzeczce Nianda, na rozwidleniu toru. Dwa wagony kolejowe naładowane szynami (jedna szyna przez oba wagony) oderwały się od parowozu i spłynęły po szynach w dół, uwzględniając spadek – 25 metrów na długości 6 km toru.

Wypadek tragiczny miał miejsce na moście tymczasowym, kiedy brygada słabosilnych pod kierownictwem Stanisława Stanka (Stanek) schodziła wieczorem tego dnia z pracy i w momencie, kiedy omawiane wagony „leciały” z wielką szybkością w dolinę rzeczki Niandy, gdzie był tymczasowy most objazdowy, bo most na głównym torze był w budowie; ci ludzie w ilości coś 30 osób

---

<sup>1</sup> Właściwa nazwa: Niandoma? Vide: S. Kalbarczyk, *Wykaz łagrów sowieckich, miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939-1943, cz.1*, Warszawa 1993, s. 176. Autor odnotował zespół łagrów – Ustwymłag. Stacja kolejowa Urdoma leżała w pobliżu węzła Kotłas.

znajdowali się właśnie w (*na*) środku mostu. Most drewniany ułożony na drewnianych krzyżakach miał długości nie więcej jak 10 metrów.

3. Okoliczności: Trzeba uwzględnić, że linia kolejowa, o której mówię, jest jednotorowa i wybudowana dopiero (zakończona) 10 października 1940 r. na naszym odcinku. Na linii nie ma wymijanek, ani bocznych torów. Z głównego toru schodzi tylko do kopalni żwiru, gdzie pracujemy – bocznicą.

Krytycznego dnia przywieziono na dwóch wagonach otwartych szyny kolejowe. Wobec braku innego toru pozostawiono je na głównym torze. Parowóz w tym czasie wtoczył się do kopalni – żwirowni, by zabrać 26 wagonów żwiru, które ukończyliśmy właśnie ładować. Była chyba coś 3 godzina po południu w październiku,<sup>2</sup> więc ściemniało się. Ponieważ do końca pracy było jeszcze z godzinę czasu, więc brygadier nasz powiada: chłopcy wobec tego, że wagony są naładowane, a z drugiej strony nie mogę was wcześniej zdjąć z pracy jak o zmierzchu, to teraz pojedziecie ze strielkiem (*strzelcem, wartownikiem*) i te 26 wagonów żwiru rozładujecie na trasie, ot z jakieś 10 km dalej za Tywe. Takie zlecenie wcześniej dostał nasz brygadier od dziesiątnika.

Wobec naszej wyraźnej niechęci wyjazdu – mówi: to w nagrodę za to, że stracie trochę swego czasu, to ja pomówię z maszynistą parowozu i on was podrzuci do obozu kolejją, bo i tak ma jechać z parowozem na stację po wodę do wodokaczki (*pompy wodnej*). Jak zamyslił tak i zrobił. Wszyscy więc szybko zajęli miejsca na piasku, każdy na swoim wagonie, jak kto z nas ładował parami, strielok usiadł również z brygadierem na jednym z wagonów i za chwilę przyszedł parowóz, maszynista wyciągał 26 wagonów z kopalni i wytoczył się całym zestawem na główny tor, poczem jazda na północ, pchając wagony przed sobą. Szyny, o których wspominałem, pozostały na torze poniżej wyjścia boczniczego toru ze żwirowni.

Przejeżdżając obok pracującej jeszcze na trasie brygady Stanka, przy odejmowaniu przez nich mchu w lesie pod przyszłe tereny kopalniane, wielu z nich widząc nas jadących na wagonach machało rękami i chusteczkami, jak się praktykowało, gdy ktoś odjeżdżał kolejją. Rozładowanie wagonów potrwało może nieco dłużej nad godzinę, każdy zwał piach z wagonu z werwą i wysiłkiem, aby prędzej, aby do baraków wcześniej pójść. Skończyliśmy. Puste wagony ciągnięte przez parowóz, a my zgromadzeni na dwóch platformach ze strielkiem i brygadierem wracamy do żwirowni, bo maszynista podstawił te same wagony do ładowania dla nocnej zmiany, która przyjdzie dopiero.

Parowóz zepchnął wagony do kopalni, a z dwoma wagonami cośmy na nich siedzieli, stali, wyciągnął się na główny tor. Ponieważ droga kolejowa do stacji była zastawiona wspomnianymi dwoma wagonami szyn, to maszynista musiał je z drogi zabrać ze sobą, wzgl. wtoczyć na tor do żwirowni. Do żwirowni nie mógł wtoczyć, bo miał ich przed sobą i gdyby wszedł do żwirowni nie mógłby wyjechać. Rozpoczęło się manewrowanie na torze. To manewrowanie na torze odbywa się, kiedy my stoimy, siedzimy na wagonach razem ze strielkiem, który zajął miejsce na wagonie przy parowozie w narożniku wagonu, by miał nas wszystkich na oku.

W pewnej chwili ruszył parowóz od wjazdu – wjazdu do żwirowni w kierunku dwóch wagonów z szynami. I tu stała się rzecz nieoczekiwana. Wago-

---

<sup>2</sup> 1940 roku.

ny stojące teraz przed nami na torze nie były zahamowane (nie stały na hamulcach), a po prostu zatrzymano je podkładając kawał drzewa pod koła i w ten sposób zatrzymano, unieruchomiono je przed stoczeniem się w dół. Gdy więc parowóz nasz podchodził – zbliżał się do nich, prawdopodobnie wskutek drgania szyn polano drzewa spod kół się obsunęło i wagony zaczęły staczać się po torze, przed tym nim je zdążył szczepszczyk<sup>3</sup> połączyć z parowozem.

To jedna wersja. Druga. Szczepszczyk nie zdążył połączyć parowozu z wagonami w momencie, kiedy parowóz zbliżył się zderzakami na milimetry do zderzaków na wagonie i pchnął je raptem, może nawet lekko, a wtedy te wagony zwolnione przez polano stoczyły się w dół same. Sporna kwestia była przedmiotem dochodzeń, jak i całe zdarzenie tragiczne. Maszynista szybko zorientował się w katastrofie, bo wiedział, że po torze ludzie wracają z pracy do obozu, toteż gonił w pierwszej chwili za uciekającymi wagonami, gwizdał, świstał, by ostrzec ludzi idących torem o niebezpieczeństwie. Okazało się, że jednych zdążył ostrzec i ci zeszli w czas z toru, innych nie, bo jednak doszło do katastrofy.

Brygada Stanka wcześniej niż inne zeszła z pracy, bo brygadier miał przywilej wcześniejszego zdejmowania ludzi z pracy, ponieważ uskarżano się, że są między nimi ludzie cierpiący na kurzą ślepotę; inne brygady (*wracały*) później kilkanaście minut. Brygady idące ostatnie zdążyły z toru zejść. Maszynista, kiedy widział, że nie dopędzi wagonów, zrezygnował z pogoni, a nawet zatrzymał się kilka minut na torze (jakkolwiek nawoływaliśmy aby jechał) prawdopodobnie dlatego, że obawiał się, iż wagony które „uciekły” odbiją się gdzieś na podniesieniu przed stacją Urdoma i wrócą ponownie, jeśli nie na to miejsce skąd wyszły, to w każdym razie, gdyby jechał z nami, mogłyby te same wagony spotkać nas w pół drogi – powiedzmy.

Maszynista nie mylił się w swych obliczeniach i przewidywaniach. Wagon, które się oderwały spływały lotem błyskawicy z pochyłości w dół i masakrowały idącą po torze brygadę Stanka, później wyszły pod górę pod stacją Urdoma i wróciły z powrotem na ten nieszczęsny most, gdzie leżeli zabici i ranni i jeszcze raz wagony kołami masakrowały tych ludzi i wyszły ponownie siłą pędu pod omawiane wzniesienie, skąd wyszły pierwotnie i znowu stoczyły się w dół. Nie wróciły po raz trzeci na most, bo w międzyczasie zostały wykolejone i ten sposób zatrzymano je w biegu – rozbiegu.

Po kilkunastu minutach stojący na torze maszynista, odczekawszy momentu, że te wagony do niego nie wracają, począł z nami wolniutko zjeżdżać do stacji. Nie zdążył daleko zajechać, bo w pewnym momencie przyjechała straż obozowa, aresztowała maszynistę i szczepszczyka, a nasz strielok kazał nam zejść z wagonów i poszliśmy piechotą do obozu. Po drodze mijając nieszczęsny most śmierci dowiedzieliśmy się o strasznej katastrofie, która pociągnęła za sobą śmiertelne ofiary ludzkie.

4. Skutki: 14 ludzi zabitych na miejscu. Widziałem osobiście leżącego poza mostem Józefa Markowskiego z Poznania, którego mała sylwetka posiadała „kociołek” za paskiem. Mówię poza mostem, ponieważ siłą pchania niektórzy zepchnięci zostali z mostu do rzeki. Most jako tymczasowy nie posiadał barier, był otwarty.

---

<sup>3</sup> Manewrowy, który spina wagony, także parowóz z wagonami, w czasie kompletowania składu pociągu.

Najgorzej ucierpiał koniec brygady ze strielkiem włącznie, który również poległ. Czoło brygady z brygadierem Stankiem było już poza mostem – może dwa czy trzy kroki, więc siła pędu wagonów zrzuciła ich z kilkumetrowego nasypu w dół po piasku, a może sami zresztą z przestrachu przed grożącą im śmiercią uciekali w popłochu spadając z nasypu, gdzie doznali tylko poturbowania, wzgl. zszokowania. Gdy mówię o sile pędu, to mam na myśli tę masę powietrza, którą przed sobą wagony pędziły. Zszokowani mówili o wietrze, który ich postrzącał. Jednym z zszokowanych był znajomy z obozu, a później z armii, inż. Bronisław Rapaport ze Lwowa, który przez dłuższy czas po tej kontuzji nie mógł przyjść do siebie.

Przechodząc, może w pół godziny po wypadku, widziałem na tym moście odciętą nogę z butem, odciętą czyjaś rękę. Strielok nie pozwolił nam przechodzącym zatrzymać się, a wielu z nas chciało rozpoznawać zabitych. Zabici zostali pochowani w lesie (tajdze) obok naszego obozu. Jakie były właściwe nazwiska zabitych, względnie zmarłych nie wiem, jeśli notuję ich nazwiska, to tylko takie, jakie używali w obozie, może któryś z nich był pod zmienionym nazwiskiem.

1. Białkowski Jan z Będzina. Podoficer zawodowy w stopniu sierżanta. Przydziału wojsk nie znam.

2. Borus Michał.

3. Cwalina Józef.

4. Chmielewski Józef, marynarz z Pińska, z flotyli. Zdaje się podoficer zawodowy w stopniu bosmana. Duży, barczysty.

5. Jankiewicz Józef, nauczyciel kresowy. Młody człowiek. Zdaje się podchorąży, względnie podporucznik z młodego rocznika. Szczupły. W okresie od 15 sierpn. do 10 października 1940 był razem ze mną na odkomenderowaniu z obozu w Nianda do obozu na Pustkowie, jak go nazywam – obok Kniaź Pogostu.<sup>4</sup> Był nawet krótki czas, że obaj wytaszczaliśmy nosilkami torf, wybierany z wykopu kolejowego.

6. Gorczyński Jan.

7. Komorowski Jan. Sierżant zawodowy jednego z pułków kresowych. Barczysty. Dość wysoki. Chodził zawsze w płaszczu kroju wojskowego-zawodowego bez odznak.

8. Kościuszek Aleksander.

9. Kirszenbaum.

10. Markowski Józef z Poznania. Stefek Kaczyński znał jego adres i prawdopodobnie rodzinę mieszkającą w Poznaniu. Niski i szczupły. Chodził w buszłacie przepasanym sznurkiem. Z tyłu miał stale przy sobie na tym właśnie sznurku „kociołek” na strawę. Kociołek był zrobiony z blaszanki po jakimś grochu konserwowanym, który kuchnia używała.

11. Myszko Piotr.

12. Świdorski Jan.

13. Zaręba Jan.

14. Żywicki.

Słabosilna brygada Stanka rekrutowała się z ludzi przeważnie chorych.

<sup>4</sup> Kniaźpogost w Siewzeldorlag, Komi ASSR, w pobliżu szlaku kolejowego Kotłas – Workuta, około 250 km od Kotłasu.. S. Kalbarczyk, op. cit., s. 105-106.

Powstała ona w wyniku przeglądu lekarskiego i do tej brygady kierowano – odsyłano ludzi słabych. Brygada ta nie miała norm pracy, a jako minimum do odpowiedniego kotła wyżywienia stanowiło 25% podstawowej normy. Używana była przy pracach lekkich, szczególnie przy zdzieraniu mchu w lesie. Niektórzy z tej brygady, ze względu na stan zdrowia, otrzymywali stawę – dożywianie w postaci odrobiny kartofli i surowej cebuli, wzgl. surowych jagód, gdy chodzi o lato, które sama ta brygada zbierała w lesie. Ta dodatkowa łyżka stawy miała chronić słabosilnych przed awitaminozą. Oczywiście, nie dostawali tej stawy wszyscy w brygadzie, ale chorzy głównie i to z przypisu lekarza. Lekarz odsyłał taki spis do kuchni i każdy musiał zgłosić się osobiście.

\*

### Stanisława Karaimowa – *Moje życie*

Konkurs zrodził się w głowach dwu siwowłosych „dziewczyn” nieco po siedemdziesiątce: Marii Grzegorowskiej i Ireny Wirskiej. Łączy je wiele: miejsce zamieszkania – Ursus, obecnie dzielnica stolicy, praca społeczna na rzecz Uniwersytetu Trzeciego Wieku im. St. Wojciechowskiego, a także Krasnystaw. W tym historycznym mieście spędzały wakacje jako podlotki, nie znając się wówczas. Gdy się ma lat 70, przeżycia sprzed lat wracają tak barwne, jak nadrzeczne łąki Krasnegostawu, ale i tak ponure, jak naznaczone wojną lata poniewierki i głodu.

Pomysł konkursu nie znalazł poparcia społecznej „zwierzchności” pań, powołały więc dla jego organizacji Zespoły Seniorów – Sybiraków i UTW, namówiły do współpracy szefa miejscowej biblioteki, dotarły nawet do pani burmistrz dzielnicy. Ta obiecała pomysł wesprzeć i konkurs został ogłoszony pod hasłem: „Wspomnienia z okresu II Wojny Światowej i lat powojennych”. Inspiratorkom udało się skłonić do udziału kilkanaście osób z obydwu środowisk i do końca ub. roku – zgodnie z regulaminem – na adres biblioteki wpłynęło 9 prac. Ich tematyka, objętość i wartość literacka były bardzo różne a wszystkie przestudiowało pracowite jury, ustalając wyniki przed otwarciem kopert z danymi uczestników. W pracach organizacyjnych wspomagał społeczników kierownik Biblioteki Publicznej mgr Piotr Jankowski. Niestrudzona Irena Wirska uzyskała dotację Sejmiku Mazowieckiego na nagrody i wydanie prac drukiem, nowy burmistrz Ursusa Bogdan Olesiński podtrzymał zobowiązania poprzedniczki, ufundował nagrody (wydawnictwa). Zaprosił na wręczenie nagród posłankę Małgorzatę Kidawę-Błońską, której obecność była miłą niespodzianką dla laureatów: UTW nosi imię prof. Wojciechowskiego, za prezydentury którego – przed haniebnym zamachem majowym piłsudczyków – pracowali w rządzie dwaj ministrowie Grabscy, z których jeden – to antenat pani poseł.

Wydane drukiem (w błyskawicznym tempie i b. ograniczonej liczbie egzemplarzy) prace konkursowe zawierają wiele cennych danych o realiach czasu wojny. Losy autorów były różne, różny też jest poziom prac, ale dzięki brakom literackim niektórych – zyskują na autentyczności. Mamy tu cztery wspomnienia tych, których „małe ojczyzny” podarowały USA Stalinowi a do Ursusa dotarły po wieloletniej tułaczce, bądź z łaski NKWD za Uralem, bądź na Ziemiach Odzyskanych. Są relacje z Powstania Warszawskiego i zrzutach cichociemnych, jeden uczestnik nadesłał wiersze. Poproszona o spisanie relacji St. Karaimowej zachowałam jej słownictwo, także ujmujące życzliwe słowa o ludziach spotykanych na drogach jej życia. Praca uznana została za najlepszą w konkursie uzyskując I miejsce.

*Krystyna Żemralska*

\*

Urodziłam się 5 maja 1920 roku, miałam czworo rodzeństwa, ale odcho-  
wałam się tylko ja jedna. Ojciec pochodził z Polski centralnej, był wojskowym,  
skierowanym do Baranowicz na Wileńszczyźnie. Mama zmarła zanim ukończy-  
łam 5 rok życia a po nowym ożenku ojca miałam bardzo dobrą macochę. Cho-  
wała mnie do 1938 roku, kiedy zmarła na gruźlicę. W tamtych czasach nie było  
lekarstwa na tę chorobę, wielu umierało na nią, nawet młodych ludzi.

W 1939 roku, po maturze, zdałam na medycynę na Uniwersytet Stefana  
Batorego w Wilnie, ale wybuchła wojna i 17 września weszli do Baranowicz  
sowieci. Ojca nie było w domu, zmobilizowany poszedł na wojnę. Po wielu la-  
tach dowiedziałam się, jak przeżył: po rozproszeniu jego jednostki nie poszedł  
do niewoli, za małe pieniądze kupił stare ubranie cywilne i przeszedł spod oku-  
pacji sowieckiej – pod niemiecką. To mu uratowało życie, w małej wiosce pod  
Częstochową pracował jako parobek. Dobrze, że nie wrócił do domu, skąd by  
go sowieci wywieźli do łagru albo zamknęli w więzieniu. A po uderzeniu Hitle-  
ra gonili więźniów na wschód, zabijali na drogach śmierci a kto tam padł – nie  
ma grobu do dzisiaj i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie miał.

Zostałam sama, ale wśród dobrych ludzi, byłam u sąsiadów, kiedy do nas  
przyjechało NKWD. Szukali nas, ale ludzie mówili, że ani ojca ani mnie nikt  
dawno nie widział, aż dali spokój. Wtedy poznałam młodego inżyniera po Poli-  
technice Lwowskiej; on przed wojną budował forty na wschodniej granicy, ale  
sowieci nie wiedzieli o nim nic, tak się uchował. Pobraliśmy się w 1940 roku,  
wciągnął mnie do konspiracji, do ZWZ a po wcieleniu – do Armii Krajowej.  
Byłam łączniczką pod okupacją sowiecką, potem – pod niemiecką, bo w 1941  
roku okupant się zmienił a organizacja pozostała, chociaż niektórych ubywało.  
Za Niemca żyliśmy możliwie, mąż pracował, robił projekty drogowe, zgodnie  
ze swym zawodem. Niemcy myśleli, że zawsze będą u nas panami, budowali  
drogi. W 1944 roku urodziłam synka, daliśmy mu na imię Jerzy.

Po przejściu frontu, przy drugiej okupacji sowieckiej mąż nie ujawnił  
wyszkolenia, pracował jako konduktor na kolei. Mógł wozić różne materiały  
dla podziemia, bo byliśmy nadal w AK. Były ciągłe rewizje, ludzie przepadali  
w więzieniach, ale nasza siatka trwała. Kiedy przyszło do nas NKWD, zaczęli  
rewizję od wysypania na stół całej szuflady papierów. Mąż miał stopień ppor.  
rezerwy, wśród papierów była jego książeczka wojskowa, jakoś jej nie ukryli-  
śmy. Wtedy nagle zgasło światło... ja stałam przy stole i byłam na tyle przy-  
tomna, że wyszukałam po omacku książeczkę wojskową, cały czas coś krzycza-  
łam, żeby nie było słyhać, że grzebię w papierach – one były zarekwirowane,  
tyle, że nie zdążyli zgarnąć. Zabrali wszystkie, zabrali męża, nie powiedzieli o  
co podejrzany a było wielu Polaków wtedy aresztowanych.

Mąż nie wrócił po przesłuchaniu, poszłam na NKWD – tam powiedzieli,  
że można podać paczkę do więzienia. Pewnie nie mieli czym karmić więźniów,  
to pozwalali rodzinom. Raz na tydzień szłam z paczką, póki i mnie nie areszto-  
wali. To było w grudniu 1945 roku, powiedzieli, że idę na konfrontację z mę-  
żem, poszłam jak stałam. Ale męża nie widziałam, zawieźli mnie do Mińska, do

więzienia. Nasz synek miał niecałe dwa latka, został bez ojca i matki. Chowali go dziadkowie – rodzice mego męża, bardzo dobrzy ludzie.

Do Mińska odstawiono mnie NKWD pod konwojem, w więzieniu ciasnota, brud, co noc wezwania „na dopros”. Na te przesłuchania zawsze brali w nocy a dla większego umęczenia nie wolno było spać w dzień. Jak siedziałyśmy stłoczone na dolnej prycy, można było się trochę zdrzemnąć na ramieniu tej, która w nocy nie była wzywana, ona chroniła te śpiące. Jak judasz się otwierał, machała, że nikt nie śpi. Po kilkunastu dniach, idąc na „dopros” zemdlałam, dostałam krwotoku, odstawili mnie do szpitala. To było poronienie, miałabym drugie dziecko, ale zamordowali je przed urodzeniem sowieccy kaci. Dobry człowiek z pogotowia miał papier, podyktowałam mu list do teściowej – gdzie jestem i czego mi najbardziej potrzeba. Przywiozła, o co prosiłam: bieliznę, kołdrę, żywność. O losie mego męża a swego syna nie wiedziała nic, nasz synek chował się dobrze.

Z tego więzienia pamiętam do dziś dwie kobiety: wielkiego ducha Polkę Grażynę Lipińską z Grodna i Ukrainkę Roksanę z Mińska. U Roksany nocowałam kilka razy jako łączniczka, ona chyba wiedziała, dlaczego kursuję do Mińska a mieszkała w dobrym punkcie, koło dworca. Podczas konfrontacji na przesłuchaniu odpowiedziałyśmy o sobie jednakowo: „nie znam tej kobiety”. Podobno udało się jej jakoś uciec do Niemiec, jak mi ktoś mówił wiele lat później.

W Mińsku nic ze mnie nie wycisnęli, ale byłam Polką, więc dostałam wyrok: 6 lat więzienia. Odstawiono mnie do Witebska, tam warunki były jeszcze gorsze. Dostałam ostrego reumatyzmu – a miałam 25 lat – byłam krótko nawet w więziennym szpitalu. W 1952 roku NKWD zamieniło mi więzienie na obóz pracy, zostałam wywieziona do łagru Książpogost w republice Komi. Jakie były warunki w łagrach GUŁAGU wiele osób już opisało: ciężka praca do całkowitego wyczerpania, miska wodnistej zupy i „pajok” czarnego chleba raz na dzień. Takie obozy tworzyły bogactwo ZSRR, do ich zarządzania rząd sowiecki powołał GUŁAG – Głównoje Uprawlenje Łagieriej. Z naszej pracy mają sowieci do dziś korzyści: wyrąbane lasy, wybudowane linie kolejowe i drogi, złoto wydobyte rękoma przymierających głodem łagierników...

Pracowałyśmy przy wyładunku bali drzewa, byłyśmy słabe a normy wysokie. Kiedy takie drzewo przygniotło mi nogę znalazłam się w szpitalu: otwarte złamanie, gips, niezdolna do pracy. W tym szpitalu trochę doszłam do sił. Pamiętam, że pracował tam jako buchalter Polak – pan Władysław, lekarzem był Litwin dr Szimkunas, absolwent teologii z Wilna. Jemu powiedziałam, że zdałam na medycynę przed wojną, a on mi poradził, jak udawać zapalenie wyrostka przed sowiecką lekarką. Ona była w NKWD a pan Władysław i ten litewski lekarz i jeszcze więzień z Azerbejdżanu, który się mną opiekował w szpitalu – to byli bardzo dobrzy ludzie. Ja byłam przed wojną w harcerstwie i PCK, przeszłam podstawowe przeszkolenie medyczne, łacinę znałam z gimnazjum. Będąc w szpitalu w Wietłosanie nauczyłam się robić zastrzyki a że noga zrosła się o 1,5 cm krótsza – zostałam w łagrze „miedsiestra”, najpierw w Uchcie, potem w Iźmie, przerzucana przez NKWD, gdzie trzeba było. W łagrze w Iźmie, po krótkim przepytaniu przez lekarza NKWD, dostałam „sprawkę” z pieczętką „pracownik służby zdrowia”. Tak się gorzko ziściło marzenie młodości, które mnie zaprowadziło na wileński uniwersytet.

Odstawiona zostałam do łagru Kniażpogost z powrotem, ale nie na długo. Byłam w wagonie do kolejnego transportu, gdy wezwano mnie po odbiór paczki od teściowej. Była w niej mąka, wsadził do niej brudną łapę żołdat wydający paczki, wtedy nie wytrzymałam, sypnęłam mu w oczy tą mąką. Zrobiła się awantura, znalazłam się w więzieniu, tym razem w Swierdłowsku. Tam spotkałam znowu Grażynę Lipińską, ona wracała do Polski. Mnie przerzucono do Pietropawłowska, potem do Kazachstanu – Dżekazgan, obóz Kengir.

W łagrze Kengir, zaraz po łaźni, wezwana byłam do naczelnika. On był Kirgizem, po krótkim sprawdzeniu skierował mnie do obozowego szpitala do pracy jako „miedsiestra”. Szpital był w części kobiecej, była tam lekarka – Europejka i druga lekarka – Polka, o której się mówiło: „cholera – nie lekarz”. Panowała dyzenteria, pracy było bardzo dużo. Tam pracowałam do końca wyroku. Sądzona byłam zaocznie, bez możliwości jakiegokolwiek obrony, ale jak dostałam wyrok, wiedziałam, kiedy się skończy.

Przyszła zima 1952 roku, dostaję polecenie „sobierajsia z wieszczami”. Serce bije mocno: idę na wolność. Ale bez żadnego wytłumaczenia pod konwojem kierują mnie do więzienia w Krasnojarsku. Po paru dniach gonią nas w konwoju, jakieś 50-60 osób przez zamarznięty Jenisej. Nasze tobołki na saniach, my idziemy w śniegu po kolana, mróz że oddychać trudno, spać się chce. Upadłam w ten śnieg i usnęłam. Potem dowiedziałam się, jak było. Woźnica przysnął na saniach, ale go zbudziło rzenie konia. Koń stanął, nie chce iść dalej. Wtedy przeliczyli kolumnę, brakuje jednego, wrócili – ja śpię w śniegu. Odratowali, posadzili na saniach, znalazłam się z całym konwojem w Siewierojeniesijsku. Już nie w łagrze, ale jako „zsylnaja”, prawie wolna. W więzieniach i łagrach spotykałam wielu dobrych ludzi, dużo Ukrainek, one zawsze były życzliwe dla Polki. Wśród mężczyzn było sporo Litwinów a nikt nigdy nie wiedział, albo bał się powiedzieć, za co dostał wyrok.

Jadąc do Polski zabrałam syna, miał już 13 lat, wychowali go teściowie. Oni zostali, wierzyli, że Polska powróci. Syn skończył wyższe studia, ożenił się, mam cudowną synową, wnuczkę i wnuka a on już ma córkę i syna, więc jestem pra-pra-babcią. Mój mąż przeszedł swoją Golgotę, ale przeżył. Wrócił z sowieckiej niewoli z moim niedużym portrecikiem, namalowanym z fotografii przez towarzysza niedoli – Węgra. Mąż wykonał w łagrze dla mnie, tak mocno wierzył, że się spotkamy, kasetkę drewnianą, w środku mój portrecik, monogram i kościółek w śniegu namalowane. Dobry Bóg nas ocalił, odnaleźliśmy się tyle lat po wojnie, przyjechali do Polski z synem.

Na którymś etapie podniosłam z ziemi leżącą między dwoma rzędami kobiet idących na rewizję, pocztówkę z Matką Boską Ostrobramską. Może któraś się jej pozbyła w strachu przed rewizją, może zgubiła, nie było warunków żeby znaleźć właścicielkę. Obrazek wytarłam, ucałowałam i schowałam na sercu. Ocalał razem ze mną, teraz Wilno jest za granicą, a ta Najświętsza Paniienka jest u mnie w Ursusie. Mam jeszcze kilka innych pamiątek, które przekażę do Muzeum Sybiraków na Cytadeli: mój numer obozowy „SCH-73”, na płótnie, odpruty z ostatniej łagrowej kurtki i malutki święty obrazek, był ze mną przez te wszystkie straszne lata w więzieniach i łagrach, wszyty w rękawie. Wyjęła go ze swej książeczki do nabożeństwa moja dobra teściowa i podała w pierwszej paczce do więzienia, jeszcze w Mińsku.



Mam jeszcze zeszyt zrobiony z szarego papieru, do tego zeszytu wpisywałam wiersze moje i innych. Jeden napisała dla mnie Grażyna Lipińska o moim synku, za którym bardzo tęskniłam. Są w nim takie wpisy: Anna Skarbeck-Sokołowska – rocznica pierwszej egzekucji Polaków pod Warszawą 25.XII.1939; Grażyna Lipińska, więzienie tranzytowe w Kirowie, pod jednym wierszem jest adnotacja: pisała Basia Damnicka. Jeden z tych wierszy tu przepisuję, nie wiem jednak kto był jego autorem:

Daleko, daleko na wschód, gdzie Wisła swe wody roztacza  
Myślami i sercem gorącym podąża gromada tułacza.  
Do Kraju złocistej legendy, do Kraju poświęceń bez słowa  
Gromada bezdomnych wygnańców na skrzydłach polecieć gotowa.

Do ziemi ojczystej, kochanej, gdzie Wolność i Miłość panuje  
Tęsknotą bezbrzeżną owiana, gromada wygnańców wędruje.  
Fantazja jedynie unosi tłum myśli upartych i serca  
A ciała przemocą wstrzymuje zuchwały i wrogi szyderca.

I pracą nad siły zamęcza, do taczek, łopaty przykuwa  
I słowem, na kłamstwie opartem, uczucia i myśli zatruwa.  
Tem szybciej uderzy nam serce, tem szybciej z pamięci powstają  
Tęsknotą wśród nas wywołane obrazy, co Kraju sięgają!

Ten wiersz i inne, zapisane na pożółkłych kartkach, oddałam razem z innymi pamiątkami do Muzeum na Cytadeli. Może ktoś kiedyś zechce przeczytać i pomyśli przez chwilę o tych, którzy je pisali, może zobaczy te pamiątki, kiedy już nas – Sybiraków nie będzie wśród żywych.

